

Gedali



ELIZA ORZESZKOWA

Gedali

Na szeroką równinę wieczór letni spuszczać zaczynał ten zmierzch przeźroczysty, w którym wszystko przyćmionem jest, ale widzialnem. W tym powstającym zmierzchu ścierniska nie utraciły swej żółtej barwy i chropowatej powierzchni, drogi odcinały się od pola piaszczystą linią, kwitnąca gryka mętnie białała, grusze polne przybrały kształty pękate, a włoskie topole, jak kolumny, sterczały nad zmaconymi liniami zabudowań małego folwarku. Na jednym skraju nieba błędziły jeszcze ogniste szkarłaty zachodu; na innym zgęszczone obłoki stały murem tak ciemnym, że można byłoby w nich dojrzeć upostaciowanie wstępującej na widnokrąg nocy. Powietrze było ciepłe i ciche. W ścierni odzywały się przepiórki; nad białą gryką zaczerniał czasem nietoperz i, zakreśliwszy w locie półkole, kędyś przepadał; od niedalekich pastwisk dolatywało rzenie koni. Zresztą, zwierzęta, ptaki i owady spały; ludzi nigdzie widać, ni słyhać nie było. Istnienie ich objawiało tylko kilka światełek, migających wśród zabudowań folwarku.

W zmroku i milczeniu rozległych sennych pól jeden tylko człowiek szedł drogą, nad którą ze stron obu stare wierzyby pochylały swe węzłowate, dziwacznie powykręcane gałęzie. Nie zmierzał ku folwarkowi; owszem, minął go i zarazem wyszedł z pod gęstych gałęzi wierzb na czyste pole. Tu ostatki światła słonecznych, tułające się jeszcze na zachodzie nieba, ogarnęły postać jego wysoką, cienką, zgarbioną, pod obarczającym mu plecy tłómkiem. Ubranie miał długie, aż do stóp sięgające, zgniecioną czapkę z podartym daszkiem, obuwie ciężkie i białe od pyłu. W rękę trzymał kij, na którym się wspierał. Szedł bardzo powoli. Od kilku tygodni panowała na stronach posucha, która drogę uczyniła piaszczystą; przytem znajdowało się na niej mnóstwo kamieni. Stopy idącego uderzały o kamienie, albo grzęzły w piasku, podnosząc zarazem małe tumany krztuszącego pyłu; że zaś, niosąc tłómek, twarz musiał ku ziemi pochylać, chwycił kurzawę w usta i gardło, a oddech jego ciężki i spieszny szemrał i chrypiał w ciszy, głooszony czasem krzykiem przepiórki, rzucającej z ciernisk jasne, wesołe nuty. Raz światło zachodu, nietrwale i blade, przemknęło mu po twarzy. Była ona podłużną, ciemnym zarostem otoczoną; miała białość opłatka zaprawionego woskiem, kości szczęk sterczące, usta wpólotwarte i oczy utkwione w ziemi.

Stanął, aby odpocząć, lecz wyprostować się nie mógł, bo tłómoka z pleców nie zrzucił. Stał więc zgarbiony, na kiju wsparty i, tylko wzrok podniósłszy, patrzył w górę na gęstniejący płaszcz zmroku, czy przerywny go górami pas białej mgławicy. Wtem powiała nań świeżość obficie spadłej rosy, zmieszana z rzeźwą wonią bujnej roślinności. W gęstwinie jakiejś zaszumiał cichy szelest; było to jakby przemknięcie się zajęcia czy kota, a może zatrzepotanie skrzydeł obudzonego w niskim gnieździe ptaka. Spojrzył na pole; rośna świeżość biła z ładu, okrytego gęstą zielenią grochu, w której sennie szemrało mnóstwo istot żyjących. Tu i ówdzie na puszystej powierzchni białały jeszcze spóźnione kwiaty, długie, zwikłane łodygi, gniotąc się wzajem, kładły się na ziemię pod ciężarem wielkich, dojrzałych strąków.

U brzegu piaszczystej drogi, człowiek zgarbiony pod ciężarem grubego tłómoka pochylił się jeszcze niżej; po chwili kij wypadł mu z ręki, a obie dłonie, popchnięte jakby wolą od niego niezależną, wyciągnęły się ku zielonym łanom. Cofnął je przecież i zdawać się mogło, że wnet pójdzie dalej, lecz nogi jego jakoby w ziemię wrosły.

— Aj, aj! aj! och!

Były to westchnienia żądy. Głową w obie strony poruszył, językiem o podniebienie cmoknął, tłómek z pleców na drogę zrzucił i, na klęczki padając, obie dłonie w gęstwinie

grochu zatopił. Teraz słycać było chrzęst odłamywanych strąków i głośnie chrupanie ich w chciwych zębach. Czołgał się na kłęczkach coraz dalej. Szczęki jego poruszały się szybko i ręce latały od gęstej zieloności do ust i od ust do zieloności. Strąki grochu były oblane rosą i trudno byłoby powiedzieć, czy łakomie pożerający je człowiek zaspokajał bardziej głód, czy pragnienie. Co pewna, to, że jadł i pił zarazem, więcej nawet pił, niż jadł. Czoło miał spieczone skwarem dziennym i usta pełne pyłu; więc schylił się tak nisko, że całą twarz utopił w mokrej gęstwinie i — jeść przestając, zdawał się odpoczywać w cichej rozkoszy.

W tej samej chwili, niedaleko, o kroków kilkadziesiąt, podniósł się z ziemi człowiek inny, wsłuchiwał się i wpatrywał przez chwilę w mroczną przestrzeń, poczem rzucił się na miedzę i z podniesionym kijem, dokonawszy kilku elastycznych podskoków, kłęczącego człowieka pochwyił za kołnierz ubrania. Zarazem, głos młody i świeży zawołał:

— A co ty tu robisz, złodzieju, włóczęgo! Groch nasz depcesz i zjadasz i pewno jeszcze kieszenie nim sobie napychasz! Złapałem cię, psia ty duszo! Wstawajże! no! i chodź ze mną na sądy, bo jak cię walnę kijem, to zaraz jak koń pogalopujesz za mną!

Czy mógłby galopować, nawet pod bodźcem kija? — pytanie. Ale zerwał się z ziemi bardzo prędko, od głowy do stóp trzęsąc się z przestachu. Tak nagle schwytano go, w chwili tak błogiej! Kilkakrotnie zgiął się niskimi, prędkimi ukłony, ochryplym głosem i bezładnie mówiąc:

— Oj, oj! niech mnie wielmożny panicz puści! ja do szynkarza w Szumnej na nocleg idę! Aj, aj! ten groch, tak sobie przy drodze... taki piękny groch... ja sobie tylko troszeczkę... Niech mi wielmożny panicz daruje i puści... czy to taka szkoda, czy co?

Niesłuchając go prawie, chłopak krzyczał:

— A! czy to wielka szkoda? A cóż? może nie szkoda? Może przybytek nam z tego, że *takie* złodzieje jak ty, wszystek groch z brzegu objadają. *Było* (trzeba było) jeszcze kartofli naszych nakopać? Miałbyś czym *balabostę* w szabas potraktować. Przez was człowiek, jak pies, na polu nocować musi, aby swojej rodzonej własności pilnować, a tu jeszcze ojciec krzyczy, że nigdy żadnego złodzieja nie złapie. Ot i złapałem! Ot i złapałem! Chodź do ojca. Na sądy! Będzie tobie! popamiętasz!

Ramionami rozmachiwał szeroko i krzyczał wciąż tak głośno, aż się po polu rozlegało. Ochryply, cichy głos wciąż znowu odpowiadał:

— Oj! oj! niech mnie wielmożny panicz puści... ja do szynkarza w Szumnej na nocleg — Oj, sąd! ten groch tak sobie przy samej drodze rośnie! a na co przy drodze rośnie? Ja tatkę wielmożnego panicza znam... żeby on taki szczęśliwy był, jak ja jemu życzę... żeby on drugi taki folwark kupił... żeby jemu na tem polu same złoto rodziło... żeby on, nu! *sto* takich pięknych synów jak panicz wyhodował!

W zmroku nie widać było wyrazu jego twarzy, ale co kilka słów zginał się niskim ukłonem, a krępy chłopak, w krótkiej siermięzce, ochłonął snadź z gniewu, czy z natury już nie był srogim, bo parsknął śmiechem.

— A to błogosławi! — zawołał. — *Sto* synów! Piękniebym ja na tem wyszedł, gdybym miał *dziewięćdziesiąt dziewięć bratów*! No, duszo niechrześcijańska, nic nie wskórasz, nic u mnie swemi błogosławieństwami nie wycyganisz! Marsz przedemną, a ja za tobą, jak żołdat za aresztantem. Do tatki na sądy! *Ein, zwei, drei*, marsz!

Naśladując ruchy żołnierskie, kij wziął do ramienia i następował na żyda, który z trudnością i stękając wkładał tłómk na plecy. Ośmielony wesołością tego, który go pojmał, z cichym śmiechem zaczął:

— Nu, pójdę, pójdę! a czemu ja niemam pójść? czy to ja paniczowego tatki nie znam? czy ja nie wiem, że on biednemu Gdalu nic złego nie zrobi. Ja pana *Ignaca Korejbe*go znał jeszcze wtedy, kiedy on w Korejbach... w swojej okolicy żył... a ot, teraz to już pięć *latów*, jak on sobie ten folwark kupił... Daj Boże, żeby jemu na zdrowie było! ja jego nie boję się! on miłosierny człowiek!

Jednak w drżeniu głosu, i nawet w cichym śmiechu jego czuć było, że się bał. Zaczął iść znowu ze zgiętymi plecami i schyloną twarzą. Oddech jego stał się głośniejszym, głos bardziej zachrypl, kilka razy zakaszłał i splunął. Karciciel jego tuż za nim postępował. Wkrótce znaleźli się obaj u wejścia do wierzbowej alei.

— Na prawo, marsz! — donośnie zakomenderował syn właściciela folwarku.

Pojmany zaśmiał się ochryple.

— Chi, chi, chi, chi! jaki panicz wesoły! daj Boże zdrowie paniczowi!
— Będziesz ty mi wieszował, jak tatko za ten groch chałat ze skóry zedrze!
— Chi, chi, chi, chi!

Znowu zakaszła i za chwilę przystanął.

— No, idźże prędzej, bo w kark palnę!

Ściśniętą pięść podniósł nad zgiętymi plecami żyda; nie uderzył jednak, tylko przez czas jakiś uderzeniem groził.

W głębokim cieniu wierzb zaszemrało przeciągłe westchnienie.

— Och, och, och!

*

W folwarku Ignacego Korejby dom mieszkalny niewielki, słomą pokryty, rozdzielony był sienią na dwie połowy, z których w jednej mieściła się czeladź wraz z ptactwem domowym, druga była mieszkaniem właściciela folwarku i jego rodziny.

Roboty dzienne przed chwilą dopiero ukończono. W izbie czeladnej przy wielkim ognisku gotowano wieczerzę dla parobków, pastuchów i dziewcząt służebnych. Słychać było gwar grubych głosów męskich, rubasne śmiechy kobiece, czasem wesołe poszczekiwanie psa i przeraźliwe gdakanie kur, które blask ognia i głosy ludzkie obudziły w ciemnych podpieckach. Z drugiej strony sieni izbę obszerną, mającą podłogę z desek, ściany czysto wybielone i nieco odymiony sufit, oświecał także ogień, palący się jednak nie w wielkim piecowisku, jak w izbie czeladnej, ale w głębokim i rozłożystym kominie. Gotowało się coś przy nim w sporym garnku, jaskrawy blask ognia padał na wiszące po ścianach święte obrazki, na czerwone ławy, stoły i stolki, na zalegające kąt izby krosna tkackie i przez drzwi otwarte, zaglądając do sąsiedniego pokoju, niewyraźnie ukazywał zarysy porządnie usłanych łóżek, żelazem okutych skrzyń, worów wypchanych wełną czy mąką, wiszących na ścianie koszów, kobialek, motków i także świętych obrazków. Izba tamta służyła za sypialnię i skarbiec, ta za jadalnię a po części i kuchnię.

Ignacy Korejba przed kwadranssem dopiero wrócił z pola, gdzie wraz z parobkami napelniał wozy zżętym jęczmieniem i, z powodu gorąca surdut zdjąwszy, w płóciennej kamizelce siedział za stołem, na którym pachniał bochen razowego chleba, stały talerze fajansowe i leżały cynowe łyżki. Nizki był, krępy, z szerokimi plecyma, twarzą okrągłą jak księżyc w pełni i głową zjeżoną siwiejącymi, krótko ostrzyżonymi włosami. Aż do wiśniowej barwy ogorzała skóra twarzy i karku, czoło pełne zmarszczek i ręce grube, z palcami w dziwne węzły, świadczyły, że mały lecz żyzny ten folwark nie przyszedł mu darmo, lecz został przezeń wydobyty z morza krwawego potu i mnóstwa przecierpianych utrapień. Mimo to wszystko jednak, z całej postaci tego zaściankowego szlachcica były niepospolita siła i kwitnące zdrowie, a twarz tryskała rubaszną wesołością i szczerem zadowoleniem z siebie i ze wszystkiego, co zdobyć potrafił.

Wcale inaczej wyglądał siedzący tuż przy stole wysoki i chudy ekonom z Szumnej, człek lat średnich, na długich nogach, z twarzą długą, z przebiegłymi oczyma i ostrym krzakiem czarnych wąsów nad chytremi usty. Miał on na sobie czarny surdut i czerwony krawat pod szyją. Wiedzieli wszyscy, że był bardzo próżnym, podobno też bardzo zręcznym człowiekiem i ze wszystkich i wszystkiego drwił. Dziś, wracając z sąsiedniej wioski, gdzie robotników zamawiał, tłustego konika do plotu przywiązał i wstąpił do Korejbow na pogadankę sąsiedzką i świeże kartofle, które właśnie gotowały się na ogniu. Z gospodarzem domu wiodąc rozmowę o żniwach, wciąż przebiegłymi oczyma zerkał na młodziutką Korejbiankę, która, jakkolwiek miała lat dopiero piętnaście, częstych już gości do ojcowskiej chaty sprowadzała; ten jednak nie był jej snadź miłym.

Niedorośla dziewczynka, w perkalowej sukience, która nie zakrywała ani bosych stóp, ani ogorzałej szyi, stała w pobliżu ognia i, profilem do konkurenta zwrócona, palcem wodziła po chropowatej powierzchni komina. Ogień złocił jej twarz, przypominającą rumiane jabłuszka, przeglądał się w siwych źrenicach i rozżarzał czerwoność wstążeczki, opasującej włosy złotawe, luźnie na plecy spuszczone.

W odbłasku tego ognia, doglądając garnka i nie mieszając się do rozmowy mężczyzny, stała i matka rodziny, wysoka, koścista, z czołem tak samo, jak u jej męża, zmarszczonym i tak samo grubymi rękami, nie tak przecież jak on silna i zdrowa, owszem, może

trochę chora, może zahukana, gapiowata, wciąż usta otwierająca. Długie lata przepracowała w domu i na polu, wiele dzieci zrodziła, wypielęgnowała i pogrzebała na parafialnym cmentarzu. Troje tylko wyrosło jej zdrowo; ta oto rumiana dziewczynka, palcem po szorstkiej powierzchni komina wodząca, i dwaj jeszcze synowie.

O synach w tej chwili rozmawiał z sąsiadem Ignacy Korejba. Miał on ciężkie zgryzoty. Oto Stefek, który teraz pilnuje na polu kartofli i grochu, na świętego Piotra i Pawła dwadzieścia lat skończył. Za rok do wojska! A jak on bez tego syna na gospodarstwie zostanie? Starzeje się już, ciężko mu będzie. I na tak długo! Bo kiedy Stefan był dzieckiem, nie wiodło się im jeszcze tak dobrze, jak teraz. Więc czytać i pisać uczył się tylko w domu i żadnej *łgoty* (ulgi) nie ma. Na sześć lat pójdzie w *soldaty*. Ani go może potem oczy nasze nie zobaczą... Wszak wojna zaskoczyć może... a tu tymczasem prawej ręki ojcu zabraknie...

Korejba zwróciła się twarzą do ognia i rękawem koszuli po oczach sobie przesunęła. Zaś ekonom z Szumnej teścia swego *in spe* z przymileniem zapytał:

— No — a Janek? Ten już do wojska nie pójdzie, jak szkoły skończy?

Na czerwoną twarz Korejby jakby promień słońca spłynął.

— Janek — panie dobrodzieju! oho! i on pójdzie, pewnie pójdzie... tylko, że nie na żołdata, ale na adwokata... cha, cha, cha! Zdolna błaznota, że niech Pan Bóg broni, i do książek, jak żyd do biblii! »Ja, tatku, powiada, jak szkoły skończę, do uniwersytetu pojadę! « »Jedź, synku, mówię, ucz się, królem będziesz«. A on: »Nie królem, tatku, ale adwokatem! « Niechaj będzie i tak! Niechaj choć jeden Korejba na ludzi wyjdzie. Chwała Bogu! stać mię teraz na edukację syna... Stefek jej nie dostał, co robić? Inne czasy były. Zato, jeżeli szczęśliwie służbę wojskową skończy, więcej ziemi dostanie... po sprawiedliwości... ja żadnego z moich dzieci krzywdzić nie chcę i wszystkie troje równiuteńko obdzielę... równiuteńko... u mnie i dziewczyna to także rodzone dziecko, a jakże! tyle będzie miała co i bracia... ot.

Dziwnym fizyologicznym objawem, czerwieniące się wśród czarnych włosów uszy ekonom z Szumnej, poruszyły się bardzo widocznie w chwili, gdy Korejba rozprawiał o zamiarze równego podzielenia majątku swego pomiędzy wszystkie swe dzieci. Latające jego oczy zapływały masłem i miodem i zwróciły się ku stojącej u komina dziewczynce. Najzupelniej nagle i niespodziewanie, głosem tak podniesionym, że aż Korejba szeroko oczy wytrzeszczył, zawołał:

— Budzę panią, panno Jadwigo!

Był to niezmiernie zręczny sposób zawiązania rozmowy z młodziutką bogdanką. Ale zamiast, jak wypadło, odpowiedzieć wzajemnym pytaniem: »w jakim kolorze? «, bogdanka zerwała się jak strzała, przebiegła izbę i wybiec z niej miała, gdy nagle w drzwiach rozległo się głuche stuknięcie i zaraz potem dwa wybuchy dźwięcznego śmiechu! Stuknięcie pochodziło z nagłego spotkania się z sobą dwu młodych głów, a było tak silnem, że aż rozległo się po izbie. Nic to! Dziewczyna, trzymając się ręką za skroń, śmiała się tak, że aż od śmiechu zataczała się po izbie i głośno śmiał się także szesnastoletni chłopak, który w płóciennej bluzie i ze strzelbą na plecach wbiegł do izby, a jedną ręką zrywając z głowy czapkę, zdobną w znak szkolny, drugą rzucił na stół dwa zabite ptaki. Za nim wpadł i po izbie z radosnem skomleniem wić się zaczął pies nieduży, trochę wyżeł, więcej kundel, zablocony tak, że trudno było rozpoznać kolor jego sierści. Z ubrania chłopca poznać można było, że wracał z myśliwskiej wycieczki, obuwie miał zablocone, całą odzież przesiąkniętą wilgocią mokrych łąk. Twarz, jak u siostry, okrągłą i drobną, tylko znacznie mizerniejszą, oblewał mu pot kroplisty i rozpromieniał wyraz tryumfu. Pierwszy-to raz w wakacyjnej porze ojciec pozwolił mu zdjąć ze ściany strzelbę i iść z nią na polowanie.

I oto teraz zabił dwa bekasy! Dla geniusza rodziny poruszyło się wszystko, co w izbie żyło. Korejba w grubych dłoniach macał i ścisnął przyniesione ptaki.

— Dubelty, panie dobrodzieju, tłuste, jak masłem oblane, patrzcie-no, jak ta błaznota strzelać umie... cha, cha, cha!

I śmiał się na całe gardło, a ekonom z Szumnej wtórował mu basowym głosem, dopytując się Janka, na których łąkach polował, doradzając inne, ofiarując psa swego, prawdziwego, »słowo honorowego człowieka«, prawdziwego wyżła-pontera.

Korejba zdejmowała synowi strzelbę z ramion i fartuchem mu pot z twarzy ocierała. Jadwinia, niezupełnie jeszcze śmiech utuliwszy, rzuciła się do stojącego w ogniu garnka. Młodziutki myśliwy wyszedł z domu zaraz po południu i głodnym być musiał.

Wnet na stole zjawiły się talerze z kwaśnym mlekiem i ogromna misa dymiących się, zaskwarzoną słoniną oblanych, kartofli. Hej! zrobiło się tam wesoło i jasno.

Ogień na kominie wciąż buchał szerokim płomieniem, a Korejba jeszcze i świeczkę w mosiężnym lichtarzu postawiła na stole. Na intencję gościa z szafy wydobyte cynowe łyżki połyskiwały jak srebro i dzwoniły o fajansowe talerze, czerpiąc z nich mleko, okryte warstwą różowawej śmietany.

Korejba w ręce sąsiada pił wiśniówkę domowego wyrobu. Korejba, z szerokim uśmiechem na kościstej twarzy, dolewała i dokładała jedzenia gościowi i dzieciom. Ekonom z Szumnej, ręką ze złotym pierścionkiem ocierając co chwila zsiadłe mleko ze sterzących wąsów, miodowe spojrzenia rzucał na Jadwisię, która klęcząc na ławie, a połową ciała leżąc na stole, jadła z jednego talerza z bratem, bosemi piętami wybijała o brzeg ławki wesołe takty i zdecydowała się nawet, z chmurną trochę figlarnością, odpowiadać na zaczepki nie milego konkurenta.

— Panna Jadwiga czegociś zła dzisiaj.

— Ja wcale nie zła, tylko się tak panu Tomkiewiczowi zdaje.

— A czy panna Jadwiga wie, że złość piękności szkodzi...

— To niech się pan Tomkiewicz nigdy nie gniewa, boby zeszeptniał...

— Czy to ja mam sobie w ten sposób zrozumieć, że w oczach pani jestem teraz pięknym!...

Wszyscy obecni zajadając śmieli się i tylko Janek, na koncepty siostry i Tomkiewicza wcale nie zważając, ani na chwilę nie przestawał opowiadać o swem dzisiejszem polowaniu. Dźwięczny, cienki, wpółdziecinny jeszcze głos jego nieustannie górował nad wszystkimi innymi głosami. Jadł, giestykulował i gadał. Najwięcej mowę swą zwracał do ojca, którego policzki wydeptane były od pożeranych kartofli, a oczy błyszczały od gorąca i zadowolenia.

— Patrzę ja, tatku!... Trezor stoi... waruj! — krzyczę. — Stoi jak mur! Fuzyę do oka... idę... Pójdź dalej! — mówię. — Trezor idzie dalej! pójdź dalej! dubelt foor! pif, paf, upadł...

Trezor, słysząc swe imię, biegał dokoła stołu, radośnie skomląc; dano ma talerz kwaśnego mleka.

— Cha, cha, cha, cha! — na całą izbę śmiał się Korejba — jak ta błaznota do wszystkiego staje! I do książki, i do fuzyjki... Tylko mi się nie postrzel, smarkaczu...

W tej chwili otworzyły się drzwi od sieni i, ręką czyjaś popchnięty, do izby wpadł człowiek w długiej, podartej odzieży, w obuwiu białem od pyłu, z tłómokiem na plecach, z kijem i czapką w rękę. Popchnięto go tak silnie, czy też sam był tak słabym, że od progu zatoczył się jak pijany i stanął dopiero wtedy, gdy dłonią oparł się o ścianę; stanął pomiędzy drzwiami a kominem, w cieniu nieco i, zgarbiony pod swym ciężarem, głowę na złote światło ognia wysunął.

Ta postać chuda, lachmanami okryta, chyląca się w niskim ukłonie, z ciężarem na plecach, kijem w rękę, włosami rozrzuconymi i twarzą sterzącą szczękowemi kośćmi a obleczonej skórą, podobną do żółtawego oplatka, — w tej wesoło oświetlonej izbie, wśród tych zdrowych, ogorzałych twarzy, ciał bogatych w kości i tłuszcz, śmiechów rubasznych i skromnych dostatków, ukazała się, jakby nagle z ziemi wyrastający duch cierpienia.

— W imię Ojca i Syna... — niosąc rękę do czoła, zaczęła Korejba.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — z drwiącym śmiechem krzyknął Tomkiewicz.

— Jezus, Marya! — jęknęła Jadwisia i oczy schowała za plecy brata, który łyżkę na talerz opuścił i swawolą rozogniony wzrok wlepił w oczy przybyłego, zapadłe, błyszczące, olśnione i przerażone.

Ku stolowi szerokim krokiem zbliżył się krępy, silny chłopak, w krótkiej siermięzce i wysokich butach. Był to żyjący portret ojca. Tak niegdyś pewno wyglądał stary Korejba. Błękitne oczy młodzieńca błyszczały, czoło białością swą odcinało się od ogorzałych policzków; włosy miał jasno-złote jak u siostry, a ręce zgrubiałe od pracy na roli, jak u obojga rodziców. Niedbale skinął głową ekonomowi z Szumnej i stanął przed ojcem.

— Złodzieja, tatku, przyprowadziłem... groch nasz żarł, aż mu za uszami trzeszczało, a może też i w kieszenie nabrał. Niech tam tatko robi sobie sąd nad nim! ja swoje zrobiłem.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy mu matka wepchnęła w ręce talerz, pełen kartofli i skwarek, a Ignacy Korejba, podniósłszy się nieco z ławy, pięścią w stół stuknął tak silnie, że aż podskoczyły na nim talerze i łyżki. Na niskim i nawskróś zbrudzonym czole starego rolnika żyły nabrzmiały jak błękitne sznurki, oczy mu zapłonęły, policzki zaszły purpurą. W tem mgnieniu oka dostrzedz można było, że gdy się rozgniewał, mógł być straszny.

— A psie przeklęty! będziesz ty mnie moją krwawicę marnował!

Krzyk ten podobnym był do ryku lwa, tak jak sarkanie Stefana przypominało mruczenie młodego niedźwiadka. Choć wzbogaceni, ojciec i syn nie przestali własnymi rękami orać, siać, kosić; bronili więc swej krwawicy, jak wilki ciężko zdobytego łupu. Nagle przecież stary Korejba przestał krzyżeć i jak ludzie z osłabionym wzrokiem, dłonią sobie oczy przysłaniając wpatrzył się w pojmanego.

— Co to? — zapytał — Gedali, czy co? Czy ty Gedali z Wołpy? No, gadajże! czyś oniemiał?

Zapytywany kilka razy poruszył ustami i po kilku sekundach zaledwie, znowu kłaniając się nisko, wybełkotał:

— Gedali! wielmożny panie! Ja... Gedali z Wołpy... ten sam, do którego wielmożny pan kiedyś po sól i żelaztwo zajeżdżał... ten sam, który tę brykę miał i parę tych pięknych koniów... co to pan wie... oj!...

Ochłonął nieco z przestachu i głową żałośnie wstrząsał. Korejba dobrze go snadź sobie przypominał, bo sapiąc opuścił się znowu na ławę i z gniewem jeszcze, ale znacznie już mniejszym, sarknął:

— Ślicznieś się wy kierował, na złodzieja, co po cudzych polach chodzi i kradnie...

Żyd chudą ręką uderzył się w piersi.

— Wielmożny panie! ja nie kradł, żeby mnie nieszczęście spotkało, jeżeli ja kradł! żeby ja jutrzejszego dnia nie doczekał...

— A cóżeś robił? — W jednym ręku trzymając talerz, a drugą w pięść ścisnąwszy, przyskoczył do niego Stefan; — a cóżeś to robił, niedowiarku, kiedym cię tam przy grochu schwytał? he?

— Nu! przepraszam!... niech wielmożny panicz nie gniewa się, ja tego grochu nie kradł...

— Cóżeś robił? — ze wzmagającym się znowu gniewem krzyknął Korejba.

Tomkiewicz, który na żyda spoglądał z przygnębiającą wzdardą, zażartował:

— On pewno patrzył, czy w tym grochu ruble czasem nie rosną...

Żyd cicho wymówił:

— Ja jego jadł... to prawda...

Korejba wybuchnął znowu:

— A cóż to ty sobie myślisz, że ja groch sieję dlatego, aby każdy włóczęga objadał się nim *podostatkiem*. Poczekaj... nie daruję... musisz zapłacić, albo cię do *mirowego* (sędziego pokoju) zaciągnę...

Żyd znowu pokłonił się nisko.

— Oj, — jęknął — niech wielmożnemu panu sto lat życia i zdrowia będzie, kiedy wielmożny pan *Gedalu* daruje... ja do Szumnej na nocleg szedł i ten groch spotkał... On przy drodze rośnie! a czemu on przy samej drodze rośnie! Aj! wiele ja tam zjadł! troszeczkę...

Tomkiewicz, który widocznie dowcipem swym olśnić chciał ulubioną, figlarnie na Jadwinię zerknął i z grubym śmiechem zawołał:

— To wam, żydzie, słowo honorowego człowieka, wasza religia wiele kraść nie pozwala, ale troszeczkę pozwala, co?

Żyd dziwnie jakoś oczyma ku mówiącemu błysnął i ze szczelnie zaciśniętymi ustami milczał chwilę. Potem, w ziemię patrząc, odrzekł:

— Na co tu religia? Ona nikomu kraść nie pozwala.

I jeszcze ciszej kończył:

— Ja był głodny...

— Kiedyś był głodny, trzeba było prosić, ale nie bez pozwolenia brać... — zaczął Korejba; lecz Tomkiewicz, akcent żydowski naśladowując, mowę mu przerwał:

— A jeżeli ten groch był trefny, to co teraz będzie?

Żółte wargi Gedalego poruszyły się niespokojnie; Tomkiewicz dotknął snadź drażliwej strony jego sumienia. W ziemię patrząc i zwiędłe czoło pod opadającą gęstwiną siwiejących włosów marszcząc, dumął. Nagle wyprostował się o tyle, o ile tylko pozwalał na to tłoczący mu plecy tłómok, gięstem rozpaczliwego postanowienia szeroko rozłożył ręce, twarz ku sufitowi zwrócił i po raz pierwszy, odkąd tu wszedł, głos nieco podnosząc, zawołał:

— Aj, aj! żeby sam rabin koło tego grochu chodził, toby go trochę zjadł: taki groch!

W wykrzyku tym było tyle zapału, którym głodny żołądek przejął się dla pięknego grochu, że nikt z obecnych nie zaśmiał się, ale owszem stary Korejba i obaj jego synowie trochę pochmurnieli. Jeden Tomkiewicz miał widoczną ochotę strzelić znowu dowcipem, ale powstrzymał się, bo zauważył, że ulubiona jego zsunęła się z ławki i u kominia stanąwszy, dużemi swojemi, siwemi oczyma ciekawie i poważnie na żyda patrzyła.

— Patrzcie-no, — po chwili ozwał się gospodarz domu, — toś ty tak zbiedniał, Gdalku! Jużem cię chyba z dziesięć lat nie widział, ale gdym często jeszcze bywał w Wołpie, pamiętam, że miałeś się wcale dobrze...

— Zbiedniałem panie, zbiedniałem...

Tomkiewicz wytrzymać już nie mógł.

— A żeby tak ślepy gołego okradł — huknął — jak to prawda jest, że on biedny! Który z nich biedny? Oni wszyscy, to pijawki, krwią ludzką napojone... słowo honorowego człowieka.

Gedali powolnym ruchem twarz zwrócił ku mówiącemu i patrząc nań, nie rozgniewanym, ale zamyślonym i nieruchomym wzrokiem, kij z ręki wypuścił i obie ręce ku piersi podniósłszy, rozwarł okrywające ją strzępy chałatu. Pod strzępami temi ukazała się koszula tak podarta, że ciemne, chude ciało zaświeciło przez wielkie jej dziury. Jednocześnie piersią tą wstrząsnął kaszel krótki i ochryply, z za podartych rękawów chałata widać było nagie ramiona.

— Niechłujstwo! — mruknął Tomkiewicz i głośno na środek izby splunął.

Stojąca przy kominie Korejbina odwróciła twarz, szepcząc: „Matko Boska!” Korejba grubymi palcami zabębnił po stole, a Janek najniespodziewaniej w świetle swym cienkim, chłopięcym głosem zawołał:

— Dlaczego pan swojej torby z pleców nie zdejmie? Niech pan będzie łaskaw zdjąć z siebie tę torbę!

Tomkiewicz parsknął śmiechem.

— Pan! no, pan! Cha, cha, cha, cha! Słowo honorowego człowieka, jeszcze, jak żyję, nie słyszałem, żeby takich łapserdaków panami tytułować. Widać, że pan Jan wielkiej już grzeczności wyuczył się w mieście.

Chłopak zaczerwienił się jak wiśnia i z dumą szesnastoletniego gimnazysty głowę podnosząc, odparł:

— Może być, że pan Tomkiewicz o wielu rzeczach jeszcze nie słyszał, ale my to już dawno wiemy, że człowiek cywilizowany dla każdego grzecznym być powinien.

— Cicho, Janek, cicho! — ulubienica swego oburknął Korejba, lecz wnet łaskawie dodał:

— No, zdejm już, *Gdalu*, ten wór z pleców i wyprostuj się, kiedy panicz tak chce.

Gedali, widocznie ucieszony, pocałował przez ramiona i głowę zdejmować grube sznury tłómoka. Nie mógł jednak tego uczynić od razu: ręce mu drżały i zakaszłał się silnie.

— Jadwisiu! pomóżże mu! — zakomenderował Janek.

Dziewczynka, która stała najbliżej żyda, podskoczyła w gnieniu oka i niemałemi wcale rękoma przerzuciła mu w tył głowy splot grubego sznura! Tomkiewicz oburzył się.

— Jezus, Marya! — krzyknął — jeszcze czego, żeby panna Jadwiga około żydowskich łapserdaków rączki swoje brudziła! Co nadto, tego już, słowo honorowego człowieka, i świnie nie jedzą!

— Ale Jadwisia, komendzie brata gimnazysty posłuszna, dla innych zuchwały języczek w rumianej buzi miała.

— Niech pan Tomkiewicz o moje ręce nie dba! Jak je zabrudzę, to i umyję, a wody u pana nie poproszę.

— Cóż to macie w tej torbie? czy po jałmużnie chodzicie? — szeroko usta otwierając, głosem przewlekłym zapytała matka rodziny.

Gedali przecząco wstrząsnął głową.

— Ja nie żebrak...

— A cóż tam jest w tej torbie?

— Ja *kramarz*... po dworach i okolicach szlacheckich, nu i po wsiach chłopskich chodzę i towar sprzedaję.

— Jednakowoż — z zamyśleniem zaczął Korejba — jak ty mogłeś tak zbiednieć Gdalku? Toż ja pamiętam, że żonka twoja trzymała w Wołpie *kramę* z solą, żelaztmem i różnymi drobiazgami, a ty domek własny tam miałeś i furmaniłeś. Pamiętam, ho! pamiętam ja te czasy, kiedy jeszcze w łapciach, panie dobrodzieju, do Wołpy przyjeżdżał i do was zachodził. U żonki twojej kupowałem, co mi było potrzeba; roztropna była i przystojna żydowica, ta twoja Merka — a twoją bryką raz do *strzecznego* (stryjecznego) brata aż za Słonim jeździłem. Cóż to takiego stało się z tobą?

Gedali stał teraz prosto, o gzems komina oparty, zupełnie prawie już pewny, że mu się tu nic złego nie stanie. Na pytanie Korejby odpowiedział:

— Co? Ot co... Pan Bóg dopuścił. Mój dom w Wołpie spalił się.

— Szkoda! szkoda! — z widocznym współczuciem rzekł Korejba.

— I dobrze! — krzyknął Tomkiewicz. — Zjadał wilk, zjedli wilka! Albo to oni mało budynków ludzkich podpalili! W Krzewnie tej wiosny *podwał wódczany* podpalili, a w Pawłówe karczmę.

Cicho i zlekka ramionami wzruszając, Gedali odpowiedział:

— Ja nie podpalał.

— Ale-bo nie mogłeś, a żebyś tylko mógł, tobyś podpalił.

— Nie podpaliłby, — zaprzeczył Korejba — ja jego dawniej dobrze znałem. Człek był spokojny. A Merka twoja jak ma się? Czy i ona już w Wołpie *kramy* nie ma?

— Umarła.

— Patrzajcie! umarła! — Szeroko znowu usta otworzyła Korejbina; — a a a! jeszcze i nie stara była kobieta! a z czegoż-to ona umarła?

Żyd patrzył w ziemię.

— Pan Bóg dopuścił... nie tu wspominając, ze złej choroby...

— Znaczy, z cholery, — rzekł Korejba, a ekonom, szybko poruszając krzaczastymi wąsami, żywym ruchem zwrócił się do żyda.

— No, żydzie! — zawołał — jak jutro przez Szumną przechodzić będziesz, słowo honorowego człowieka, dam ci garniec świeżego grochu, tylko mi zaraz powiedz, jak nazywa się ta choroba, na którą twoja żona umarła! cha, cha, cha, cha!

Gedali niespokojnie poruszył wargami.

— Nu, nie tu wspominając, to zła choroba...

— Ale ty mnie gadaj, jak ona nazywa się?

— Jak ona nazywa się? A na co to mówić, jak ona nazywa się!

— Za nic bestya nie powie! Żeby go poćwiertować, nie powie — wybuchnął śmiechem Tomkiewicz.

— Taki już u nich głupi zabobon — przywodził Stefan.

Janek, czerwieniąc się znowu, sentencyonalnie i dobitnie wyrzekł:

— Jest to nieludzkość, bez żadnej potrzeby zmuszać kogoś do tego, co mu przykrość sprawia.

Widocznie zaczynał brać do serca sprawę żyda; przytem obchodziły go losy koni, które żyd ten niegdyś posiadał.

— A konie? — zapytał.

— Jeden zdechl i drugi oślepl i ja jego sprzedał za piętnaście *rublów*.

— Ale ty cośiś dużo dzieci miałeś, — zaczął Korejba; — pamiętam, że kiedyś u was bywał, z pięcioro tego uwijało się około twojej Mery.

— Siedmioro... — poprawił Gedali.

— A Jezus! — jęknęła Korejbina — siedmioro wykarmić i wychodować, czy to żarty?

Na grubej dłoni kościsty policzek wspierając, żałośnie kołysała głowę. Ona dobrze wiedziała, co znaczy karmić i chować dzieci w lepszym nawet bycie, a cóż dopiero w takim mizernym! W głosie jej brzmiało jakby poszanowanie dla rodzicielskich boleści i trudów, gdy, łagodnie patrząc na żyda, zapytała:

— A w jakim wieku?

Powoli, to z gorzkimi nieco, to znowu z radosnymi niemal uśmiechy opowiedział, że jedno tylko z dzieci jego było zupełnie dorosłe: córka, która po śmierci matki doglądała i chowała wszystkie inne; że z tych innych syn jeden uczył się szewctwa, drugi uczęszczał do Talmud-tory, takiej sobie żydowskiej szkoły dla ubogich chłopców, trzeci niczego nie uczył się, bo mu Pan Bóg do niczego rozumu nie dał, czwarty zaś, Chaimek, był bardzo rozumny, ale jeszcze zupełnie mały. Co do dwóch młodszych córek, te, choć w służbę iść chciały, nie mogły, — bo nic nie umieją i żadnej siły w sobie nie mają.

— Siedzą sobie tedy w izbie i pończochy na sprzedaż robią. Jedna z nich, Małka, piętnaście lat ma i bardzo ładna, ale taka blada jak papier i nigdy nic nie mówi? Dlaczego ona nie mówi? Albo on wie! Ze smutku może, czy z biedy, bo ot, jejby trzeba jeść więcej i troszkę wesołości nabrać, a tu zkąd? W jednej izbie *wszystkie osiem* żyją i trzy ruble na tydzień mają, te trzy ruble, które on ze swego handlu zarabia. Całego majątku zostało mu osiemdziesiąt rubli; on za to nakupił towaru, co tydzień na szabas wraca do dzieci i przynosi im trzy ruble. Nu, jak Pan Bóg da, czasem cztery albo pięć, ale rzadko, — najczęściej trzy, i wtedy bieda; ażeby dobrze sobie przeżyć, trzeba by im mieć osiem rubli na tydzień. Och! och! żeby on miał osiem rubli na tydzień, jakie-by to było szczęście dla niego i dla jego dzieci...

Mówiłby pewno dłużej, ale kaszlać zaczął. Na palcach przeszedł część izby i do kąta splunawszy, na poprzednie miejsce powrócił. Obecni milczeli chwilę. Zdawało się, że duch litości przez izbę tę przeleciał i miękkim skrzydłem musnął wszystkie te grube twarze...

Korejba bębnił palcami po stole i myślał... o czym? Może o czasach ubogiej swej młodości, gdy w łapiach jeszcze zachodził do domu *Gdala* i wesoło gawędził z żoną jego Merą. Korejbiną, z policzkiem na dłoni wspartym, myślała także może o jednej ze zmarłych swych córek, która na rok przed śmiercią, tak jak teraz córka Gdala, stała się białą jak papier i milczącą, jak zdławione ptaszę. Stefan siedział u okna, brodę oparł na rękę i marszcząc białe czoło, dumał; miał i on swoją zgryzotę: za rok precz z tej chaty, do wojska! Więc, słuchając o biedach cudzych, zasmucił się także. Jadwisia, która jeszcze żadnych smutków nie zaznała, przysiadła na ziemi i, odrzuciwszy na plecy złotą grzywę włosów, z podniesioną twarzą wlepiła w żyda siwe swe źrenice, zdziwione. Jeden Tomkiewicz, widocznie kwaśny, strzelił znowu konceptem:

— A lichoz-bo ci kazało, żydzie, tyle dzieci napłodzić?

Gedali odpowiedział:

— Wiadomo... u najbiedniejszych zawsze *dzieciów* najwięcej.

Tu zadzwonił znowu chłopięcy i pełen pewności siebie głos Janka:

— Niech pan siada, panie *Gdalu*, proszę pana siadać.

Gedali uklonił się, a Korejba z zamyśleniem zaczął:

— Jednakowoż, jakie to na świecie bywają wypadki. Ot, on, człowiek spokojny i uczciwie pracujący, przepadł, a ten szelma Mendel z Szumnej, kręciciel taki, że niech Pan Bóg bronii, wzbogaca się aż strach! Słyszę, już Szumnę w dzierzawę bierze.

Tu oczy jego przybrały wyraz trochę złośliwy i z ukosa na ekonoma zerknęły. Chodziły po świecie pogłoski, że Tomkiewicz z bogatym Mendlem okrutnie na niekorzyść dziedzica Szumnej szachrował. Zmieszał się też trochę ekonom, Korejba zaś powtórzył:

— Ha? czemu to tak? ten nic złego nie zrobił i w biedzie — a tamten, gałgan, bogaczem sobie jest... Ot, jak na świecie, lepszemu gorzej, gorszemu lepiej.

Gedali kilka kroków naprzód postąpił i nieśmiało zaczął:

— Przepraszam wielmożne państwo, u nas o tem jest przypowiestka.

Jadwisia uczyniła żywe poruszenie; nadzwyczajnie lubiła bajki i przypowiestki. Żyd wyprostował się i mówić zaczął:

— U nas tak napisane stoi. Kiedy Pan Bóg chciał temu światu biblię dać, to powiedział, żeby wszystkie góry do Niego przyszły. Góry, ma się rozumieć, posłuchały Pana Boga, ale te, co były wielkie, stanęły na przodzie bardzo pyszne z tego, że były wielkie, i czekały, której z nich Pan Bóg biblię da. Pan Bóg popatrzał, popatrzał i zawołał do siebie najmniejszą górę, taką małą, że ona za wielkimi schowała się i myślała, że jej Pan Bóg i nie zobaczy. Ale Pan Bóg zawołał ją i powiedział: »Ja biblię tobie daję, bo ty, choć mała, ale więcej jesteś warta w moich oczach od tamtych wielkich. A dlaczego ty więcej warta? Dlatego, że one pyszną się, a ty nie pysznisz się, i dlatego, że z nich wiele kamieni na

ludzi spadało, a z ciebie żaden kamień na nikogo nie spadł«. I dał Pan Bóg biblię najmniejszej górze, a jeden nasz wielki rabin — on nazywał się Ben-Jehuda — gadał, że ta przypowieść pokazuje, jak małeńki człowiek może być więcej wart od wielkiego, jeżeli on nie pyszny i nikomu nie zaszkodził, a tamten pyszny i dużo złego ludziom narobił.

Dłonią o stół uderzając, stary Korejba z błyskiem oczu zawołał:

— To prawda! Ot, na przykład, wiesz co, panie Tomkiewicz, kiedy mnie pan Palicki procesem dusił, aby mi niesprawiedliwie moją fortunę odebrać, gryzłem się, panie, tak, że o mało nie chorowałem ze zgryzoty, a wszakże często myślałem sobie: choć on wielki pan, a ja chudy szlachcic łapciasty, lepszym od niego, bo on krzywdziciel i pyszny Herod, a ja nikomu wody nie zamacilem, własną krwawicą swoją doszedłem wszystko, co mam, a czasem to jeszcze, panie, komu i dopomogłem...

— Przepraszam wielmożnego pana, — odezwał się Gedali — to, co pan teraz powiedział, to są takie *winogrony*, co na kolącym krzaku rosną... ja nie wiem, jak ten krzak nazywa się, co to tak kole?

Pytającym wzrokiem wodził po wszystkich twarzach.

— Może głóg — odpowiedziała Jadwisia.

— Aha! panienka dobrze wie... głóg! głóg! U nas i o tem jest przypowieść ładna.

Dziewczynka klasnęła w dłonie. Gedali przygasłym swym wzrokiem popatrzał na nią i, uśmiechając się, zaczął:

— Aj! jaka panienka wesoła! jak to dobrze patrzeć, kiedy kto taki wesoły! Och! żeby to moja Małka była kiedy taka wesoła! Ona te same lata ma, co panienka i tego samego *rostu* (wzrostu), tylko biała jak papier i nigdy nic nie gada. Jeżeli panienka chce, to ja i tę przypowieść opowiem... U nas tak napisane stoi: Kiedy żydzi byli w niewoli babilońskiej, żył jeden bardzo uczony i pobożny człowiek, który nazywał się Uriel. I on był bardzo dobry, a dlatego, że on był taki dobry, to on żadnym sposobem tej niewoli przetrwać nie mógł. Kiedy on widział, że żydów bardzo krzywdzili, on tak płakał, że jemu z wielkimi boleściami całe serce wylewało się przez oczy. I on szedł do tych, co niesprawiedliwie cierpieli i dawał im wszystko, co miał. Jednemu dawał troszkę swego rozumu, a drugiemu troszkę *pieniędzy*, a trzeciego po twarzy gładził, jak matka swoje dziecko, kiedy ono chore. Ale to jemu nic nie pomagało i taki smutek jego przycisnął, że zaczął on do Pana Boga krzyczeć, żeby Pan Bóg jemu śmierć prędzej dał. Nu, Pan Bóg nie dał jemu śmierci, tylko spuścił na niego sen. Jemu przyśniło się, że on tak samo był w babilońskiej niewoli z całym narodem i że jeden z narodu przyszedł do niego i mówił: Rebe Urielu, poradź ty mnie, jak ja mam sobie w tym interesie dobrze zrobić; a on chciał radzić i nie mógł, bo język w gębie kołem mu stanął.

A drugi człowiek przyszedł i mówi: Rebe Urielu, naucz ty mego syna w świętych księżkach czytać — a on chciał uczyć i nie mógł, bo sam czytać zapomniał. A trzeci człowiek przyszedł i mówił: Rebe Urielu, daj mi co jeść — a on chciał dawać i nie mógł, bo cały jego majątek gdzieś przepadł. Aż Rebe Uriel krzyknął okropnie i obudził się i poczuł, że w głowie ma ten sam rozum, co pierwaj, a cały majątek jego naokoło niego jest. Wtenczas on padł na twarz przed Panem Bogiem i modlił się: „Nie dawaj mi jeszcze, Panie Boże, śmierci, bo choć ja bardzo nieszczęśliwy, ale ja szczęśliwy, bo mogę *radości* robić tym, co smutne”!... A jeden nasz wielki rabin — on nazywał się Ben-Akiba — gadał, co ta przypowieść pokazuje, że jeżeli kto nieszczęśliwy i bardzo gryzie się, to niech ot tylko dobrze naokoło siebie obejrzy się: a pewno zobaczy, że na tym głogowym krzaku, w którym on siedzi, słodkie winogrona rosną.

— Patrzcie! — rzekł Korejba — jaki ty mądry *Gdalu*, tyle historyi na pamięć umiesz! I niczego sobie te twoje historye, dalibóg niczego, choć żydowskie. Siadaj-no, siadaj, teraz pogadamy sobie o tym grochu!

Ucieszony okazaną mu łaską, lecz znowu przerażony wzmianką o grochu, Gedali uśmiechał się, oczyma niespokojnie błyskał i kłaniając się, bełkotał, że nic nie szkodzi... on sobie... postoi... Ale Jadwisia zerwała się z ziemi, schwyciła stół i, stawiając go obok żyda, ze ślicznym uśmiechem rumianych ust, rzekła:

— Proszę siadać! pewno już nogi od stania zabolaly! Co tam, ot, proszę siadać!

To „co tam” odnosiło się do ruchu, jaki uczynił żyd, aby pocałować tę czerwoną rączkę, która mu siedzenie podawała.

— A siadajże do licha! — rozkazująco krzyknął Korejba.

Żyd drgnął z przestachu i w mgnieniu oka usiadł. Znalazł się teraz blisko ognia, i wyraźnie widać było, że nogi i ręce mu drżały, pierś podnosiła się szybkim oddechem, a oczy tak zapadły, że pośród delikatnej i żółtawej skóry czoła i policzków, wyglądały jak dwie czarne, gorejące iskry.

— Ależ kiepsko wyglądasz! Lepszych od ciebie do trumny kładą — zaczął Korejba.
— Chory jesteś, czy co?

— Chory, wielmożny panie, chory!

Opowiedział, że już od owego spalenia się domu i śmierci żony, zaczął kaszlać i tracić siły, ale od dwóch lat coraz mu gorzej. Coś go strasznie w piersiach gniecie i już taki słaby, aż strach! Żeby on nie był chory, mógłby chodzić prędzej i zarabiać więcej, możeby nawet jaki korzystniejszy interes sobie obmyślił. Ale to taka choroba, co bardzo siły odbiera...

Pod krzaczastymi brwiami, małe i bystre oczy Korejby zwilgotniały. Dobrze, dobrze teraz przypominał sobie świetne czasy Gdalka, kramę jego żony, podróż, którą w budzie jego do Słonima odbywał — i pożałował go bardzo. Syn ubóstwa i własnego ciężkiego dorobku, znał zblizka wszystkie biedy i w twardym swem ciele duszę miał miękka.

— Suchoty, czy co? — półgłosem przemówił — czemu ty do licha nie leczysz się, żydzie?

— Ja był u doktora.

— I cóż ci doktor powiedział?

— A co? on powiedział, żebym ja codzień mięso jadł, dużo mleka pił, mało chodził i co tydzień bańki stawiał.

Uśmiech przewinął mu się po ustach i wznosił się aż na czoło, które zmarszczył aż po siwiejące włosy.

— Mięsa jeść i mleka pić ja nie mogę, bo to bardzo drogo kosztuje... Chodzić dużo ja muszę, bo z tego cały mój zarobek... to ja w jednym doktora posłuchałem... bańki co tydzień stawię... one tylko złotówkę kosztują... nu... złotówkę na tydzień, to ja mogę na swoją kurację wydać...

— Jezu! — zadziwiła się Korejbina — ale jakże wy możecie tak dużo chodzić przy takiej chorobie...

Przestał uśmiechać się i odpowiedział:

— Chodzę!

W tej chwili Jadwisia, która na kilka sekund wybiegła była do sieni, wróciła i z białym, sporym garnkiem w rękę zbliżyła się do żyda.

— Może mleka! — rzekła, podając mu garnek.

Gedalemu oczy błysnęły chciwością. Popatrzył chwilę na garnek, napełniony niedawno udojonem, jeszcze ciepłym mlekiem, i przecząco wstrząsając głową, rzekł:

— Dziękuję panience. Mnie tego nie można.

— Co? trefne? — ze śmiechem zawołał Tomkiewicz.

— Mnie tego nie można...

— To może choć chleba z masłem? — ozwał się Janek.

Gedali nic już nie rzekł, tylko przecząco znowu głową poruszył.

— Ot, zjedlibyście choć parę kartofli z solą, a to ze wszystkim zesłabniecie — spoglądając w garnek, gdzie było jeszcze trochę kartofli, zaprosiła Korejbina.

Widocznie zakłopotany i twarz nieco od obecnych odwracając, Gedali odpowiedział:

— Dziękuję wielmożnemu państwu za wszystko... już ja sobie jutro u szynkarza w Szumnej podjem.

— No, żyjże-to z tymi ludźmi! — grubym basem krzyknął ekonom — kiedy oni z chrześcijańskiej ręki kawałka chleba nawet nie wezmą, jakby wszystko, co nasze, zarażone im było! A! słowo honorowego człowieka! psiawiary oni, niech ich dyabli porwą z ich trefami i głodnymi bachorami razem!

— To prawda! — potwierdził Korejba. — Ten, na przykład: jeść nie ma czego, lecz się nie ma za co, a jeżeli dobry człowiek chce go trochę pożywić, to mu tam jakieś zabobony skorzystać z tego, panie, nie pozwalają. Przez to człowiek do nich, żeby i jak litował się, serce straci...

Gedali słuchał uważnie, głowę schylił pokornie i ciężko westchnął. Gdy po chwili twarz podniósł, była ona okryta wyrazem głębokiej rozważi. Roztropność i nawet prze-

nikliwość odmalowały się w nieśmiałym dotąd spojrzeniu. Zwykłym sobie, trochę ochryplym i przyciszonym głosem zaczął:

— To jest prawda, co wielmożni panowie sobie mówią. Jest na świecie tyle nieszczęścia, *wiele* piasku w wielkim *more* (morzu). Jedno nieszczęście idzie od biedy, drugie od choroby, trzecie od kłótni, a czwarte od tego, że człowiek rozumu nie ma. Ale tak zawsze na świecie nie będzie. Przyjdzie taki czas, że wszystko będzie dobrze. A od kogo ten czas przyjdzie? U nas i o tem piękna przypowieśćka jest.

Wyprostował się, dłonie na kolanach złożył i twarz podniósł nieco. Widocznie spływało na niego błogie natchnienie. Może przypowieść, którą miał opowiadać, była mu ze wszystkich najulubieńszą; może ciepło ognia i łaskawość ludzka rozgrzały mu ciało i duszę.

— U nas tak napisane stoi. W starym mieście Jeszurum, na wysokim krześle, siedział w wielkiej szkole wielki rabin Mojżesz Ben-Majmon, a naokoło niego siedziało sto, może tysiąc, a może dziesięć *tysiąców* jego uczniów. On do nich gadał po arabsku i po grecku i różnie; bo to był taki rabin, który do żadnego narodu *nienawisciów* nie miał i gdzie tylko rozum znalazł, kłaniał się jemu tak samo, jak gdyby to był żydowski rozum. Kiedy on gadać przestał, podniósł się ze stolka najlepszy jego uczeń, który nazywał się Ben-Jehuda, i powiedział: „Rabbi, ja w biblii jednej rzeczy nie rozumiem! Może ty mnie co takiego powiesz, że ja ją zrozumieję”. „A czego ty nie rozumiesz”? — zapytał się Ben-Majmon. — Ben-Jehuda odpowiedział: „Ja tego nie rozumiem, kto te anioły, co śnili się naszemu *przedku* (przodkowi) *Jakóbu*, że po drabinie do nieba chodzili i znów na ziemię powracali?” Ben-Majmon pomyślał i zaczął tak gadać: „Te anioły, to *wielkie* ludzie, co robią się bardzo doskonale i mądre, *znaczy*, coraz wyżej idą w górę. Im trudno w górę iść, ale oni idą, bo siły już takie mają i takie wielkie chęci, żeby tam dojść, zkad im będzie można dużo słodkości nabrać. Niech oni się nazywają *proroki*, albo *uczone*, albo *miłosierdnego* serca, albo wielkiego głosu, ale oni wszyscy — to te anioły, co po drabinie chodzą do nieba”. Tak gadał Ben-Majmon; ale Ben-Jehuda jeszcze kontent nie był i pytał się: „A dlaczego rabbi, oni to w górę idą, to w dół? Kiedy oni tak żądają być w górze, czemu oni tam nie zostają, ale znowu nazad na ziemię zstępują?” Ben-Majmon białymi włosami jak lew *potrzęsnał* i odpowiedział: „Żeby oni zostawali się w górze i na ziemię jużnie powracali, toby oni nie byli anioły! Ale oni w górze nabierają dużo słodkości i światłości i powracają na dół, żeby te skarby po ziemi siać. A gdzie oni ziemię usieją, tam ona lepsze zboże rodzi, kłótnie z niej nie wyrastają, ale spokojność wyrasta i ludzie mniej płaczą, a więcej cieszą się. Ot, poco oni na ziemię powracają, choć im powracać trudno, i dlatego, Ben-Jehudo, oni są anioły”. Ben-Majmon przestał gadać, a Ben-Jehuda i wszyscy, co tam byli, cieszyli się, dziękowali jemu za to, że im taką piękną obietnicę dał. Ben-Majmon zapytał: „Jaką ja wam dał obietnicę?” A Ben-Jehuda odpowiedział: „Te anioły, Rabbi, kiedyś tak zrobią, że na świecie nie będzie ani głodu, ani kłótni, ani takich, co głupi, ani takich, co płaczą i w sercu swoim krzyczą, że im bardzo źle!”

Snadź nietylko Ben-Jehuda z Jeszurum, ale i późny potomek jego, Gedali z Wołpy, cieszył się bardzo obietnicą, zawartą w słowach Rabbi-Majmona. Uderzające zaszły w nim zmiany. Stopy w wykrzywionych i opylonych butach silnie o podłogę wsparł, w zamian ramiona, z których opadały podarte rękawy, podnosił nieco w górę. I twarz ku sufitowi podniósł tak, że broda, śpiczasta i prawie zupełnie siwa, sterczała nad jego szyją obnażoną i cienką jak srebrzyste skrzydło. Ruchomy blask ognia spadał mu na czoło, odkrywając na niem niezliczone bruzdy i zmarszczki, lecz z oczu rozgorzałych i zachwyconego uśmiechu tryskała słodycz mistycznej ekstazy...

Nagle tę obnażoną i cienką szyję objęło ramię sprężyste i młode, rumiane usta, schylając się nad tem zbrózdżonym czołem, wycisnęły na niem głośny pocałunek. Był to Janek, który, od stołu powstawszy i powoli zbliżając się ku kominowi, z błyszczącymi oczyma i niezmierną uwagą słuchał przypowieści żyda, a teraz, stanąwszy przed nim, ruchem może bezwiednym, dziecinnym jeszcze, objął mu szyję i pocałował go w czoło. Wnet potem odszedł i, plecami o róg komina wsparty, stał tam z pochyloną głową, zarumieniony, zmieszany. Coś w chłopcu tym zawrzało. Czy wielka litość nad tym nędznym człkiem, który z takim zapalem o zbawcach świata roił? Czy uwielbienie dla ludzi-aniołów? Czy paląca nadzieja, że on sam kiedyś takim aniołem zostanie?...

Przez drzwi od sieni ukazała się głowa kobieca, w czerwonej chustce na rudych włosach, i poszeptala chwilę z Jadwisią, która, spostrzegłszy ją, wesoło ku drzwiom podskoczyła.

— Tatku! dziewczęta i *parobki* chcą towary kramarza zobaczyć. Czy można?

— Może-by i można; ależ kiedy ty pewno bardzo tego nie chcesz? — zażartował stary Korejba.

Jadwisia ręce opuściła na suknię i błagającym wzrokiem na ojca patrzyła. Bardzo jej się chciało zobaczyć towary kramarza.

— Czy masz męskie kamizelki? — wstając od okna, zapytał Stefan.

— Otwieraj, żydzie, tłomok swój, kiedy panna Jadwiga tak chce — huknął Tomkiewicz.

O! nie trzeba było prosić go o to. Żwawy, jakby mu połowy lat i bied ubył, sprężysty, jakby nigdy nie chorował, zerwał się ze stolka i przysiadł na ziemię, drżącymi od radości rękoma sznury worka rozwiązując. Co za szczęście! Przyszedł tu pojmany jak złodziej; mniemał, że wyszturchanym i złajany, a może i do sądu zawleczonym zostanie; a tu, nietylko że, trochę pokrzyczawszy, siedzieć go proszono i po ludzku z nim rozmawiano, ale jeszcze i towary mu pokazać rozkazują... Może sprzeda, zarobi... Dziś środa, pojutrze do dzieci wracać trzeba... a tu jeszcze rubla do tygodniowych trzech brakuje. Zarobku! zarobku! na chleb i bańki dla niego, na chleb, kartofle i jakie takie łachmany dla dzieci!

Mistryk, rojący o przyszłym rajy ziemskim, bezwiedny poeta, z pamięcią pełną starych przypowieści, wynędzniały suchotnik, z apatyczną rezygnacją noszący po świecie swój głód i swoje łachmany — zniknęli, a na ich miejsce zjawił się kramarz wiejski, usłużny, żwawy, z biegającymi od twarzy do twarzy oczyma, z latającym w ustach językiem.

— Kamizelki męskie? a jakże! mam! czemu ja mam ich nie mieć? Panience może wstążeczki błękitnej? a paniczowi spinek do rękawów? Igły mam, szpilki, guziki, chustki różne, bardzo *pięknych perkalów, złotne* (złote) pierścionki, naparstki, nici, tasiemki... *korunki*... — Nawet drżenie nóg i chrypienie w piersi kędyś mu przypadły.

— Hej! Gdalku! — wpół seryo a wpół żartem zawołał Korejba — a cóż będzie z tym grochem, coś mi go zjadł? ha? może o tem pogadamy?

O! teraz już Gedali nie bał się wcale! Elastycznym krokiem i tylko dysząc głośno, przyskoczył do stołu, a kłaniając się przed gospodarzem domu, z filuternym uśmiechem zaczął:

— Przepraszam wielmożnego pana, u nas i na to przypowiadka jest.

— Król Salomon miał wielkie bogactwa — mówił dalej — a Jozę, pastuch, był bardzo biedny. Raz ten Jozę przyszedł w szabas do pałacu króla, obejrzał się, czy nikt nie widzi, i wziął ze stołu kawałek kugla. Ale jeden *przyjaciel* króla zobaczył *jego*, jak on kawałek kugla brał, i przyprowadził go do Salomona, a Salomon...

Tu Korejba, który patrząc na ruchliwą twarz żyda, aż za boki brał się ze śmiechu, zawołał:

— Ho, ho! Gdalku, tę przypowieść to już sam komponujesz; ja to z twojej miny widzę... to u was napisane nie stoi... Ale w twojej głowie tak stoi: Król Salomon Jozęgo za kawał kugla nie ćwiczył, ale dał mu jeszcze mąki na łoksyne, prawda, co?

— Prawda, wielmożny panie!

— No, to niech już sobie będę dziś królem Salomonem; niech moje przejdzie... dla starej znajomości z tobą. Nic ci złego za ten groch nie zrobię, a jesienną porą, jak będę miał okazję do Wołpy, pół beczki kartofli dla dzieci twoich przysię.

Żyd rzucił się do ręki mówiącego i całując ją z wielkiej radości, niewyraźnie bełkotał:

— Żeby wielmożny pan był taki szczęśliwy, jak ja panu życzę! Żeby pan sobie drugi taki folwark kupił! Żeby pan, nu, sto jeszcze takich pięknych synów i córek, jak te panicze i ta panienska wychował...

Korejba na całą izbę wybuchnęła śmiechem z ostatniego życzenia żyda.

— A bodaj cię, żydzie! A bodaj cię! Oto plecie! Chory taki, a jeszcze język jak pytel!

Przed kominem gwarno było i tłumnie. Aby lepiej widzieć towary, dołożono na komin drzewa; ogień buchał ogromny i olśniewający. Gorąco zrobiło się w izbie jak w piekle, ale nikt na to nie zważał. Wszyscy tam byli przyzwyczajeni do wszystkiego. Dwaj młodzi parobcy, dwie dziewczki i stara gospodyni wsunęły się pocichu i z rodziną pana domu utworzyli jedną, zaciekawioną i rozweseloną grupę.

Pośrodku, nad mnóstwem kolorowych lub połyskujących drobiazgów, siedział na ziemi Gedali, ożywiony, ruchliwy, zwracający się na wszystkie strony, rozwijający jaskrawe perkalę i chustki, w dwóch palcach poruszający przed ogniem mosiężne napastrki, stalowe guziki, srebrne pierścionki. Jadwisia i Janek siedzieli także na ziemi grzebiąc w towarach, wybierając to i owo, szczebiocząc; Korejbina i Stefan stali za kramarzem, rozpościerając i oglądając kamizelki męzkie i kobiece chustki; parobcy i dziewczki wychylali przed ogień szerokie bary, czerwone twarze, stara gospodyni nawet twarz skurczoną, bezzębną i szeroko roześmianą, zwieszając nad głowami Jadwisi i Janka, szepleniącym głosem wołając o dwa łokcie perkalu na fartuch.

Treżor nawet wylażł z kąta, wmieszał się pomiędzy ludzi i, poszczekując, wciąż odpędzany, wciąż zabłoconymi łapy próbował po towarach chodzić.

*

Noc była ciemna i tylko w górze jaśniejąca niezliczonemi gwiazdami, kiedy Gedali z bramy folwarku znowu na pole wychodził. Wnet za bramą powitał go krzyk polnych świerszczów. W trawie przydrożnej i zielskach ugoru świerkały one wielkim chórem, ostro, przenikliwie i tak prędko, tak śpiesznie, jakby im pilno było wyśpiewać swoją pieśń i przed północą umilknąć. Na drodze, pod rozłożystemi wierzbami, było zupełnie czarno; po szerokich polach wiatr szumiał cicho i monotonna. U stodoły, która tuż za bramą ciągnęła się niskim cieniem, stała wysmukła i nieruchoma topola. Żyd przyszedł do topoli, zdjął z pleców tłómkę i, przez chwilę szepcząc, rachował zarobek dzisiejszego wieczora. Sprzedał niemało, zarobił pół rubla i był bardzo kontent. Tylko było mu zimno i jeść chciał! Nic to! Jutro ogrzeje się na słońcu i podje sobie u szynkarza z Szumnej. Przestał rachować i spojrzął na gwiazdy. Pod nieruchomą topolą ramiona wznosił w górę i mówił wieczorną modlitwę.

— Dziękuję ci, Panie świata, żeś naród mój wybrał pomiędzy wszystkimi narody!

Kaszelnim wstrząsnął; pod koszulą z wielkimi dziurami po ciele wychudłem i ciemnym przebiegły dreszcze.

— Dziękuję Ci, Panie świata, że stworzyłeś mnie tak, jak chciałeś!

W kilka minut potem leżał nawznak, z głową na tłómkę, z rękami opadłymi na mokrą trawę. Zdaleka, z pola, dochodziło gwizdanie Stefana, który stróżował znowu nad kartoflami i grochem. W czarnej ciemności wierzbowej alei, zatętniały kopyta konia, na którym Tomkiewicz do domu odjeżdżał, i w dali umilkły. Folwark był pogrążony we śnie. Daleko gdzieś grała trąbka pastusza. Świerszcze śpiewać przestały.

Gedali nie spał. Myślał o niespodzianym zarobku, który był winną jagodą na jego głogowym krzaku. A może, pomiędzy gwiazdzistym niebem a bezsennymi jego oczyma, gorączka suchotnika zawiesiła ludzi-aniołów, którzy szli w górę i zstępowali na dół, aby siać słodkość i światłość na ziemi, na której kiedyś nie będzie już ani biedy, ani kłótni, ani takich, co płaczą i w sercu swem krzyczą, że im bardzo źle....

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gedali/>

Tekst opracowany na podstawie: Z jednego strumienia, szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedmową Elizy Orzeszkowej, Skład Główny w Księgarni E. Wende i Spółka, Warszawa 1905.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0617-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.